



**mjr Henryk Dobrzański - Hubal**

1897 - 1940

**Broni nie złożę.  
Munduru nie zdejmę.  
Tak mi dopomóż Bóg.**



### **Relacja Józefa Bispinga z przebiegu działań 110 pułku ułanów we wrześniu 1939 roku oraz o powstaniu O.W. Mjra H. Dobrzańskiego.**

Przegląd Kawalerii i Broni Pancерnej, t. XIII, 1980-1982, Londyn, s. 105-111.

Pułk ten został sformowany z rezerw około 10-12 września; miejscem jego formacji były koszary 3 p.s.k. W Wołkowysku opróżnione przez 3 pułk, który był już na linii walki. Dowódcą 110 pułku ułanów mianowany był płk Jerzy Dąmbrowski, z-cą d-cy – mjr Henryk Dobrzański. Dowódcami szwadronów, których pamiętam byli: rtm. Hasłowski (2-gi szwadron) i rtm. Moczulski (3 szwadron). Oficerem ordynansowym był por. rez. Kazimierz Jeleński. Dowódcą pocztu d-cy pułku – pchor. wachm. Zbigniew Dobrowolski. Plutonem kolarzy dowodził pchor. Mościcki.

Płka Dąmbrowskiego poznałem w Wołkowysku tuż po jego przyjeździe z Warszawy dla objęcia dowództwa pułku. Był on na kresach północno-wschodnich postacią legendarną, sławnym zagończykiem-partyzantem z lat 1918-1920, dokazującym na czele ochotniczego oddziału jazdy czynów odwagi i sztuki wojennej godnych Kmicica. W okresie międzywojennym, nie należał do zwolenników obozu rządzącego, był usunięty od czynnej służby i pełnił funkcję rejonowego inspektora koni w jakiejś mieścinie na Kresach. Zgłosiłem się do pułkownika w Wołkowysku z prośbą o przyjęcie mnie na ochotnika do pułku. Nie obsługiwałem służby wojskowej uprzednio, wobec czego przydzielony zostałem do pocztu d-cy pułku.

Od pułkownika biła pewność siebie i zawadiacka brawura. Pociąg, którym przyjechał z Warszawy poprzedniego dnia był atakowany przez samoloty niemieckie, które ostrzelały seriami k.m. Boki wagonów. Jakiś oficer stojący obok Dąmbrowskiego w oknie wagonu nie schylił się w porę i był ranny w pierś – jemu nic się nie stało. „Kule się mnie nie imają”. Czołgi niemieckie? Jak im odetniemy dowóz benzyny to z czołgów będą wiali piechotą do Niemiec – jeszcze ich baby wiejskie kijami wygrzmocą. Dobrze nam robił ten entuzjazm w tych dniach niepewności i złych wieści z frontu.

Pułk złożony był z rezerwistów, ludzi w średnim wieku, ojców rodzin, nie najlepszej klasy żołnierskiej. Wyposażenie szwankowało, gdyż komunikacja z Brześciem, gdzie były wielkie magazyny wojskowe, była rwana przez naloty. Brakowało broni, mundurów, siodeł. Po paru zaledwie dniach z obawy przed lotnictwem npla ośrodek formacji pułku przeniesiony został z

Wołkowyska do Izabelina, niedużej miejsciny w pobliżu. Tam oficerowie usiłovali ująć to wszystko w garść.

Łączność z Dowództwem Naczelnym była właściwie zerwana, było oczywiste, że wojna źle się dla nas rozwija i pytanie co dalej będzie się działo z pułkiem, wisiało nad nami cały czas. To były dni oczekiwania, kompletowania ekwipunku i poznawania się wzajemnego. Była nas garść ochotników. Zygmunt Gdowski – młody prawnik, sędzia śledczy z Wołkowyska. Tadeusz Kalenkiewicz, Stefan Litewski. W pewnej chwili rozeszła się pogłoska, że pułk ma się wagonować i iść na Równe, gdzie ma być tworzona nowa linia oporu.

Nadeszła pamiętna niedziela 17 września. Wiadomości otrzymane radiową drogą stanowiły szok o nieopisanym napięciu. Dąmbrowski wezwał mnie, a zapewne i innych ochotników i może oficerów rezerwy i wobec sytuacji, która groziła nieuchronną klęską, tak mi oświadczył: „My zawodowi oficerowie wiemy, że nie na życie idziemy, ale wy młodzi będziecie Polsce potrzebni i może Pan się wycofać w sposób honorowy, żadna plama nie będzie Panu ciążyła”, etc. Dał mi 2 godziny czasu do namysłu. Oczywiście stuknąłem w obcasy i zameldowałem, że pozostaję w pułku i pewien jestem, że wymarsz nazajutrz o świcie.

W poniedziałek 18-go pułk wyruszył w kierunku północnym, celem naszym była obrona Grodna. Minęliśmy Wołkowysk i poprzez wioski białoruskie jak Sarudawie, gdzie ludność ze zdumieniem i podziwem oglądała nasz pułk idący w pełnym szyku, szwadron za szwadronem, przez maj. Białawicze (gdzie dostaliśmy owsa dla koni) do Mostów. Tam przeszliśmy po moście na prawy brzeg Niemna, mijając się nieomal z 1 p.ułanow krechowieckich i pierwszy nocleg mieliśmy w maj. Huta pp. Mikulskich. Wydaje mi się, że odtąd pułk nie maszerował w zwartej kolumnie, szwadrony się rozdzieliły w terenie. Według otrzymanych wiadomości Grodno miało być już zajęte przez Niemców, zatem oś marszu została skierowana więcej na północ w stronę miejscowości Ostryna i Jeziory. W obu tych miasteczkach nasze patrole zostały zaatakowane przez lokalne bojówki złożone z mniejszości narodowej i uzbrojone. Mieliśmy zabitych i rannych. Szwadrony nasze nie pozostały dłużne, dokonując egzekucji winnych i podpalając miasteczko z czterech rogów. Pułk przeszedł ponownie Niemen, tym razem po moście prowizorycznym na tratwach i szedł w kierunku Puszczy Augustowskiej. Tu już mieliśmy spotkania ze zmotoryzowanymi klinami nieprzyjaciela. Mieliśmy straty. Pluton kolarzy z d-cą, dzielnym pistoletem, pchor. Mościckim wysieczony ogniem k.m. Do ostatniego człowieka. Cały prawie 3-ci szwadron, zaskoczony przez czołgi na bagnistym terenie nad Biebrzą koło Dolistowa, rozbitý kompletnie. D-ca rtm. Moczulski poległ trafiony kulą w czoło. Żołnierze nieprzyjacielscy ściągnęli z zabitego buty. Garstka tylko żołnierzy uratowała się z tego pogromu, m.in. por. rez. Witold Krasicki, który wpadł w bagno po szyję tak, że trawy go zakryły i przy zapadłym mroku, mimo poszukiwań wróg go nie znalazł. Por. Krasicki dołączył wieczorem do dowództwa pułku we wsi Jasionowo i zameldował płkowi Dąmbrowskiemu o kompletnym rozbiciu 3-go szwadronu. Zaraz potem pułk (a właściwie jego resztki) wyruszył w całonocny marsz po bocznych, leśnych drogach do wsi Tajno. Jechałem wtedy strzemię w strzemię z por. Krasickim, noc była bardzo zimna, a on mokry po szyję, po kąpieli w bagnie marzył tak, że ledwie głos mógł wydobyć.

Dodać trzeba, że już od kilku dni trwała stopniowa dezercja z pułku. Żołnierze, nieraz gospodarze, ojcowie rodzin, gdy znaleźli się w pobliżu swej wioski, dezercerowali czując beznadziejność dalszej walki.

Przed d-cą pułku coraz jaśniej stawała kwestia dalszej decyzji. Pułk poniósł duże straty i poszczególne szwadrony zostały przez nacisk wypadków odłączone od dowództwa. Próby nawiązania łączności przez gońców nie dały rezultatu. W płątaniu dróg i drózek leśnych nie sposób było ich odnaleźć. Była to już resztką pułku, ludzie i konie wymęczeni do ostateczności nocnymi marszami. Spaliśmy w siodłach, nie pamiętam już ile razy obwisłe gałęzie augustowskich świerków zmiotły mi śpiącemu czapkę polową z głowy. Nieco urozmaicenia wprowadzał wtedy mój koń Fix, który miał zwyczaj skubać z nudów konia przed sobą za nasadę ogona, co powodowało kwiki, wierzganie i soczyste wyrazy jeźdźca.

We wsi Tajno pozostawiono tabory i po krótkim odpoczynku pułk wyruszył dalej. Orientowaliśmy się, że znajdujemy się w pasie terenu między dwiema armiami nieprzyjacielskimi, który to obszar zwężał się z dniem każdym. Wobec postępującego nasycenia lasów augustowskich przez oddziały pancerne npla, dowódca zdecydował skierować linię marszu na południowy zachód w kierunku Łomży. Był to pamiętny marsz całonocny, ciężka przeprawa przez rozległe bagniste tereny nadbiebrzańskie. Morzem mgieł jak mleko w blasku księżyca, tylko stogi siana niezliczone wystawały ponad to. Konie grzęzły w bagnie. Po tysiącnych trudach świat zastał nas po łomżyńskiej stronie. Dociągnęliśmy na postój we wsi Janów o 6 km od Kolna. Trzeba było zdobyć wiadomości o sytuacji na terenach pobliskich. Mój bezpośredni dowódca pchor. Zbigniew Dobrowolski przedzierzgnął się w wiejskiego chłopaka na rowerze i pojechał do Kolna na rozpoznanie. Wrócił z meldunkiem, że w Kolnie pełno wojska niemieckiego. Z tą chwilą byliśmy wzięci w kleszcze dwóch ugrupowań nieprzyjacielskich i pułkownik powziął jedyną decyzję jaka się narzucała: oszczędzić życie żołnierzy, gdyż walka byłaby bez żadnych szans; pułk rozwiązać, ludzi rozpuścić.

Byłem tuż przy tej chacie, gdzie odbyła się owa dramatyczna, znana z opisu Wańkowicza, rozmowa z Dąmbrowskiego z Dobrzańskim. Dowództwo się tam zamknęło; ja majstrowałem coś przy siodle przewieszonym przez drąg kieratu. W pewnej chwili wyszedł z chaty pułkownik i krokiem pewnym, widocznie wstrząśnięty, szedł w moim kierunku. Zauważyłem, że jego czapka polowa miała ślady wapna z chłopskiej izby. Stuknąłem w obcasy i zameldowałem posłusznie, że czapka zawałana. Dąmbrowski zwrócił na mnie nieobecne spojrzenie; oczy miał pełne łez.

W chwilę potem dostaliśmy rozkaz, że wszyscy mają się zebrać koło szkoły wiejskiej na skraju wsi. Nie było dwuszerogu, pułkownik kazał stanąć w półkole przed sobą. Tam w krótkich słowach przedstawił nam sytuację; powiedział, że Polska będzie nas jeszcze potrzebować, żeby rozjeść się do domów. Pułk zostaje rozwiązany, jesteśmy zwolnieni z tą chwilą z żołnierskiej przysięgi. Pułkownik dodał, że on sam pozostaje w mundurze i zamierza prowadzić walkę dalej, w formie partyzantki jeśli nie inaczej. Zamierza pójść w lasy Wileńszczyzny; kto na ochotnika z nim niech się zbiera, wymarsz natychmiast. Na placu przed tą wiejską szkołą zapanował zamęt. Nagle zniknął żelazny system wojskowy, gdzie ktoś nam wydawał rozkazy. Każdy musi decydować za siebie. Bić się dalej? Wracać do swych najbliższych? Byliśmy zdezorientowani. Ludzie kręcili się, szukali znajomych, pytania krzyżowały się w powietrzu. Opoдал zawiązała się inna grupa, skupiona wokół mjra Dobrzańskiego. Podeszedłem do nich. Dobrzański zbiera ludzi, tłumaczy z energią, że wojna nie skończona. Warszawa się broni, idziemy w pomoc Warszawie. To było rozumowanie, które mi trafiło do przekonania. Byłem uczuciowo związany z Warszawą. Natomiast obawiałem się wrogości i anarchii chłopskiej, komitetów, samosądów, okrucieństw. Nic mnie nie ciągnęło za Dąmbrowskim. Spotykam Zbyszka Dobrowolskiego: co robisz? Choć idziemy na pomoc Warszawie. Zbyszek był z Sosnowca, prawo robił w Warszawie, wszystko go

ciągnęło na zachód. Ale fason wojskowy, jako dowódcy poczty dowódcy pułku, nie pozwalał mu opuścić pułkownika. Pożegnaliśmy się i ta bezładna żołnierska gromada rozdzieliła się powoli na trzy części. Oddział Dąbrowskiego osiodłał konie i bez zwłoki wyruszył w drogę. Było ich ze 30-tu. Nasz oddział, około 40 ludzi, wzięty w rękę przez Dobrzańskiego, także nie tracił czasu. Zabraliśmy jeden rkm z amunicją, każdy miał karabin i to co w jukach, żądnych podwód ani taborów. Szliśmy „komunikim”. Ruszając w marsz obejrzeliśmy się za siebie. Oddział Dąbrowskiego ginął na zakręcie drogi; my w swoją stronę. Cześć koledzy! Niech Bóg prowadzi!

Reszta pułku już w rozsypance, pozostała za nami. Uczucie przegranej, jakiegoś rozprężenia wewnętrznego, ustąpiło zdrowej radości. Oto znowu jest się w oddziale i to w ochotniczym braterskim oddziale, koń rażno parska, dowódca nas prowadzi pewną ręką - idziemy w pomoc Warszawie! Zaczynam się rozglądać po sąsiadach. Są znajomi, jest dużo nieznamych. Ze 110 pułku jest por. Witold Krasicki, ppor. Piotrowski, wachmistrz-szef 3-go szwadronu (Januskiewicz?). Oddział składa się w większości z ochotników z innych jednostek. Najbardziej mi pamiętni to: kpt. Maciej Kalenkiewicz, instruktor w szkole podchorążych saperów. On zostaje zastępcą dowódcy. Kalenkiewicza pamiętam jako wzór żołnierza i obywatela, czuło się u niego wysokie napięcie idealizmu. Pozostał on w oddziale Dobrzańskiego - już wówczas "Hubala" - aż do czasu, gdy wysłany został przed podziemne władze wojskowe jako kurier na Zachód. Dotarł szczęśliwie do dowództwa naszego w Anglii. Później po kursie spadochronowym został jako "Cichociemny" pod pseudo. "Kotwicz" zrzucony był do Polski i dowodził oddziałami partyzanckimi na Wileńszczyźnie. Zginął śmiercią żołnierską w 1944 r., pozostawiając pamięć żołnierza "bez trwogi i skazy". Pamiętam dobrze por. Karpińskiego o podobnie wartościowych cechach. Przegadałem z nim niejedną noc w marszu. Ppor. Sawczyk, podchorąży Andrzejczak, plutonowi Rodziewicz i Alicki i wielu innych, których nazwiska i twarze uleciały mi z pamięci.

Wpadamy w rytm marszu konnego, narzucony przez sytuację: idziemy zatem przez kraj zajęty przez armię niemiecką. Byle nieostrożność i po nas. Zatem marsz tylko w nocy, nad ranem dochodzimy do jakiejś ustronnej wioski, konie do stodół, żołnierze po chatach, warty czuwają. Ogromne usługi oddaje nam system zwany "polskim Bézardem". Busola Bézarda była udoskonalonym typem francuskiego kompasu, wysoce cenionego w wojsku. Zaś polski Bézard to był wiejski, rozgarnięty chłopak wsadzony na konia - a mieliśmy specjalnego w tym celu zapas. Siwka - i przeprowadzający nas ciemną nocą po zakazanych wertepach z dala od dróg i osiedli. Chłopak wracał do domu a miejsce jego zajmował następny. Dzielna patriotyczna ludność kurpiowska otaczała nas życzliwą opieką, karmiła i przechowywała przez dzień po domach. Po niezwykle męczącym pochodzie uprzednio, teraz wpadliśmy w rytm marszu i odpoczynku, który postawił nas, ludzi i konie, na nogi z powrotem. Dobrzański doskonale nas prowadził. Ciągnęliśmy na Warszawę, a raczej przemykaliśmy się, bo kraj był kompletnie zajęty i to nie wyłącza przez armię niemiecką z Prus Wschodnich. Drogę przegradzała nam Narew, a potem Bug. Zbliżaliśmy się do Narwi idąc w kierunku Łomży. Wiadomości o terenie przed nami były niejasne, ale im bliżej Łomży, tym bardziej powtarzały się informacje, że jest ona zajęta przez oddziały nieprzyjacielskie. Konkretnie, że ich kolumn czołgów stoi na rynku w Łomży. Mieliśmy przed sobą prawobrzeżne przedmieście Łomży, Piątnicę, wg wiadomości wolne od obcych wojsk, połączone dwoma drewnianymi mostami przez Narew z samym miastem; jeden most był niski nad wodą, a drugi główniejszy, wysoki. Ten wysoki most był podobny strzeżony przez uzbrojoną bojówkę ze sprzyjającej nieprzyjacielowi mniejszości narodowej. Trzymali oni wartę na przyczółku od strony miasta.

Były trudności i problemy z przejściem Narwi, która ma bystry prąd i zdradliwe koryto. Próby zmobilizowania promów i łodzi nie dały rezultatu, wszystkie bowiem zostały zniszczone przez działania wojenne. Kpt. Kalenkiewicz wystąpił ze śmiałym projektem, który po namysłach i deliberacjach został przez Dobrzańskiego przyjęty. Wykorzystujemy zaskoczenie. Oddział spiesza się w cichym zakątku Piątnicy. Połowa ludzi na ochotnika atakuje most na bagnety, likwiduje wartę możliwie szybko i bez hałasu, koniowodni przeprowadzają za nimi konie i znikamy w nocy zanim wróg zdąży zareagować. Wykonujemy ten program w ruinach kompletnie spalonej Piątnicy. Padają ciche rozkazy: Z koni! Na ochotnika do walki pieszej. Zgłaszam się wraz z innymi, wolę nie odpowiadać za konie kolegów, gdyby się rozpoczęła strzelanina na serio. Jest na ze 20-tu, Kalenkiewicz dowodzi. Zostawiam konia dzielnemu pistoletowi pchor. Andrzejczakowi. Ferdek Andrzejczak tymi dniami pod marsową maską ukrywa śmiertelny niepokój, bo ma żonę i córeczkę w Bydgoszczy, gdzie Niemcy dokonali rzezi ludności cywilnej. Zostawiamy koniowodnych. Bagnet na broń - ruszamy cichym krokiem na most.

Napięcie nerwowe wielkie, bo most jest długi i noc jasna od księżycy, nietrudno nas dostrzec czy usłyszeć. Nasza gromada posuwa się, koło mnie połyskuje hełm Jerzego Komorowskiego. Ciche wezwanie do Najświętszej Panny, spocona ręka ściska karabin. Jak zaczną strzelać, to tylko biegiem w nich. Co komu sążone. I tak w ciszy kompletnej dochodzimy do drugiego przyczółka. Nie ma warty. Głębokie westchnienie. Kalenkiewicz wysyła gońca do tyłu: dawać konie. My zapadamy tuż za mostem w płytkim okopie, wystawiamy na miasto nasz rkm. Droga wysadzona mazowieckimi wierzbami wznosi się lekkim wirazem od rzeki do rynku Łomży. Panuje tam cisza. Po chwili dochodzi nas klaskanie kopyt końskich po kocich łbach Piątnicy, to ciągną nasi z końmi. Już pierwsze konie wchodzą z dudnieniem na most i powoli grzmot kopyt o dyle mostu wzrasta wśród cichej nocy do jakiegoś wariackiego fortissimo. Cały wysoki most wibruje jak pudło basteli i hałas toczy się nad rzeką jakby nigdy nie miał się skończyć. Siedzimy w naszym okopie i trzęsiemy się z nerwów. Ale i na rynku nas usłyszano. Zapalają się światła, słychać głosy komendy, rzęzą rozruszniki czołgów, zaczynają grać motory. Tylko patrzeć a będziemy ich mieli na karku. Konie nadchodzą - a jak tu w nocy poznać swojego w gromadzie? Ferdek się odezwał, odebrałem konia, oddział ruszył po łąkach nadnarwiańskich zostawiając Łomżę na lewo. Jak dobrze, lekko niesie mnie koń, czuję miękką murawę pod kopytami jakbym sam po niej stąpał. Giniemy w bezpiecznej ciemności. Później dowiedzieliśmy się, że koniowodni i reszta oddziału galopowali po moście i stąd ten hałas.

Szliśmy dalej, maszerując w nocy, spędzając dzień w ukryciu w ustronnych wioskach. Raz u jakichś miłych gospodarzy przyszła nam ochota na placki kartoflane. Właśnie, jak moja porcja się smażyła do chaty wszedł major. No, a co tu u was chłopcy tak ładnie pachnie? Placki? Dawać! I zabrał się do nich z zapalem. W jakiejś poprzedniej perypetii straciłem przybory osobiste i byłem mocno nieogolony. Pytam kolegów czy ktoś mi pożyczy żyłetki? Dobrzański z ustami pełnymi moich placków mówi, że on zapuszcza brodę, więc żebym poszedł do jego luzaka i kazał sobie dać jego żyłetkę, że mi ją daje. "Oddasz mi lepszą po wojnie". To była ładna żyłetka anielska "Eclipse" i słoik kremu. Niestety później były inne perypetie i też ją straciłem.

Bug przeszliśmy wbród nocą i dochodziliśmy do lasów Łochowa, Kurnatowskich. Dowiedzieliśmy się od ludzi, że duża ilość naszej polskiej amunicji, a w szczególności granatów ręcznych leży porzucona gdzieś na wydmach w lesie. Zostałem odkomenderowany z innymi do przyniesienia kilku skrzynek dla oddziału; granaty były dla nas cenne, wszyscy się nimi obwiesili. I tak znaleźliśmy się w okolicy Miłosnej i w ciągu dnia doszliśmy do

majątku Krubki pani Arkuszewskiej. Przybycie nasze wywołało sensację i popłoch. Powiedziano nam, żeby się na miłość boską pochować, bo Niemcy co rano przyjeżdżają po jarzyny.

Dwór był pełen uciekinierów. Tam nas czekała wiadomość, że Warszawa padła 2 dni przedtem, że wojna definitywnie skończona. To nas paskudnie uderzyło, bo do tej Warszawy przecie dążyliśmy cały czas. Panie domowe w tradycji odwiecznej polskich dworów przyjęły nas posiłkiem w parku wśród wielkich drzew opodal domu. Tam Dobrzański nas zebrał wokoło siebie i oświadczył, że on munduru nie zdejmie i broni nie złoży i jak ma zginąć, to w mundurze i z bronią. Będzie się przedzierał na Węgry. Wojna trwa. Ci, którzy chcą z nim iść dalej, wymarsz przed świtem następnego dnia.

Ja z większością nie zdecydowałem się na dalsze prowadzenie walki, czy przemknięcie się na Węgry nie posiadając map. Dobrzański, zakwaterowany we dworze, wezwał mnie później i polecił mi dyskretną misję do pań domu: jedyne spodnie co miał na sobie wymagały naprawy. Położył się więc do łóżka, bryczesy zostały powierzone sprawnym rękom pań, a my rozmawialiśmy po raz ostatni. Chciał mnie przekonać, że trzeba walczyć dalej, do końca, przypominał Kmicica - ja jednak miałem powody do swej decyzji. Pożegnałem go serdecznie.

Zapadliśmy w kamienny sen. Gdy obudziliśmy się oddział Dobrzańskiego już był wyruszył w dalszą drogę. Było ich chyba około 20-tu. My pozostający zabezpieczyliśmy broń i granaty i zajęliśmy się przebraniem za cywilów, zamieniając z ludnością wiejską mundury na różne łachy cywilne. W kilka dni później przedostaliśmy się do Warszawy spalonej i zrujnowanej i pełnej znienawidzonych niemieckich mundurów.

.-.

Historia oddziału mjr Henryka Dobrzańskiego, późniejszego "Hubala" weszła do naszej literatury i naszej tradycji wojskowej głównie przez książki M. Wańkowicza "Wrzesień Żagwiący" i fragment jej wydanej później w Polsce "Hubalczyki". Autor opierał się na materiale wspomnień przekazanych mu po wojnie we Włoszech przez wach. Rodziewicza. Książka nosi cechy wspaniałego talentu pisarskiego Wańkowicza, jednak wskutek zapewne jednostronnego oświetlenia zawiera szereg istotnych nieścisłości. Scena "buntu" Dobrzańskiego w chacie sołtysa w Janowie, gdzie rzekomo przejął on z rąk Dąmbrowskiego dowództwo pułku, jest mocno zabarwiona fantazją. Wiem od uczestnika tej odprawy, por. Witolda Krasickiego, dziś zamieszkałego w Buenos Aires, że wprowadzając Dobrzańskiego oświadczył, że pułk może z matni wyprowadzić, ale nie było żadnego "na moją komendę". I w dalszym ciągu podczas zbiórki przed szkołą, gdzie płk. Dąmbrowski podał nam swą decyzję o rozwiązaniu pułku, jego autorytet dowódcy ani na chwilę nie uległ wątpliwości. Większość oddziału Dobrzańskiego jest u Wańkowicza znacznie przesadzona. Zgodnie, lecz niezależnie od siebie, oceniamy ją z por. Krasickim na 40-50 ludzi. Gdy chodzi o nocne przejście przez most w Łomży, autor pomija fakt wysłania spieszonego patrolu kpt Kalenkiewicza dla ew. opanowania przyczółka rzekomo trzymanego przez uzbrojonych cywilów.

Trzeba stwierdzić, że przemarsz oddziału z Janowa do Krubek odbył się dzięki ostrożności dowódcy, bez jakichkolwiek starć ani spotkań z nieprzyjacielem. Te przysły później w Kieleckim, gdzie już w kwietniu 1940 poległ major Dobrzański śmiercią żołnierską. Oddział na wiadomość o upadku Francji (17.VI.40) zakończył swą bojową historię.